Nr. 22. We Lwowie, Poniedziałek dnia 1. Czerwca 1891.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Smutna fujarka.

Rosła raz wierzba nad brzegiem strugi,
Kapiąc w niej cicho warkocz swój długi. —

I nikt nie wiedział, że ta wierzbina
Wszystko chwytała w gałęzie swoje:
Czy wiatr — bywało — liście ugina,
Czy szemrzą silnie strumienia zdroje,
Czy słowik w nocy majowej śpiewa
I co naonczas gadają drzewa,

Aż raz szedł chłopiec ową dąbrową
I uciął sobie gałęź wierzbową.
To-ż ta wierzbina, myślał pamięta,
Jak to śpiewają z wiosną ptaszęta
W konarach dębu i w krzakach róży...
Zagram, a wszystko ona powtórzy.

I zagrał... W pieniu jednak prostaczem
Coś się ozwało jękiem i płaczem
I wszystkie tony nagle się sprzędły
W jakiś szmer głuchy, suchy i zwiędły

Chłopak odrzucił z gniewem narzędzie,
Lecz odtąd każda fujarka wszędzie
Zmieniała jemu swoje piosenki
W jakieś żałobne płacze i jęki.

Nie było chłopcze dla swej swawoli
Ścinać gałązki, ścinać zielonej,
Bo nóż i wierzbę rani i boli,
A to jej zemsta — te rzewne tony.

Bo ta z gałęzi fujarka mała
Smutne wspomnienia w piersi ci przelało:
Jak wiatr szeleściał liśćmi zwiędłemi,
Jak źdźbła się kładły martwe na ziemi,
I co w dąbrowie swojej rodzimej
Raz przed nadejściem słyszała zimy.

Narkotyki.

Z cyklu poezji prozą: „Przelotne chmury".

Wieczór to chwila narkotyków... kto czem ma, tem się upaja.

Powietrze przejmuje się słodkim, wonnym mrokiem i faluje, jak odurzone, drzewa chwieją się i lunatycznie dotykają się siebie palcami liści, a cała przyroda oddycha namiętnie w pół śnie, w pół jawie, a księżyc narkotycznem światłem upaja ją i budzi, i sam odurzony wałęsa się po niebie jak błędny.

Wieczór to chwila narkotyków, czem kto ma, tem się upaja.

I on siedzi w pysznym gabinecie, zapchanym osobliwościami, tak, że oko nigdzie spocząć nie może z wytchnieniem, tylko zaraz stają w wyobraźni wszystkie kraje i wszystkie epoki, style, wystawy i targi zbytku; wszystko tu leży w zamięszaniu artystycznem niby, a obrachowanem na imponowanie widzowi. Nawet światło słoneczne wpada tu nie samo, ale niesie ze sobą malowidło szyb i wzory portjery, nawet powietrze tu sztuczne jakieś, przepełnione leciuchnym obłokiem wybornego cygara, zapachem juchtowych albumów i przenikliwą wonią oppoponaxu. A on siedzi wśród swego zbytku, stary filister, obejrzawszy świat cały, lubuje się swojem bogactwem, przymruża i otwiera oczy, z rozkoszą wodzi ospałe spojrzenie od rzeźbionego sufitu do alabastrowej Wenus, od rzuconej na konsolę nogi mumji do wytwornego pudła, skąd bierze co chwila cygaro, zapala, znów drzemie, zapala, i mruczy zadowolony... na! ma wszystko... wszystko, co tylko można: kupić! Pycha go nadyma... poprawia się na swym fotelu, przygniata lekko nogą aksamitną poduszkę, a naprzeciw niego przepyszny ponter naśladuje jego ruchy i tak samo się przeciąga wygodnie na pluszowej otomanie, tylko, że ma rozumniejsze oczy od swego pana i nie ma sobie nic do wyrzucenia. Co chwila wpada gość, zasypuje powietrze eleganckiemi słówkami, głębokimi ukłonami wita pana, pieszczotami psa, chwali uniża się, poleca i wychodzi, ustępując miejsca innym. Gdy ich się dwóch zejdzie, na wagę próżności głupiego miljonera, ten rzuci słówko, ten słówko, czatując czyja szala wyżej się podniesie, mierzą subtelnie pochlebstwa, jak aptekarz gramy trucizny nim delikatną ważkę uspokoi i wychodzą zostawiając gospodarza pogrążonego w narkotyku pychy i pochlebstwa. On w nim nurza się, pływa, tonie, i nic mu do szczęścia nie potrzeba, nic a nic... jest upojony. Bo wieczór to chwila narkotyku. czem kto ma, to się upaja.

Pod oknami gabinetu. leży na trotoarze wpółśpiąc. w pół majacząc średnich lat człowiek.

Łagodne oczy ma roztkliwione napojem złego gatunku, księżyc oświeca mu czoło i wspaniale srebrem haftuje zdarte i brudne łachmany, a pijany szewc marzy cudownie, plecami wyciera się o dom jak o fotel wygodny i bełkocze niewyraźnie słowa:

— Dobra była... dobra... słodka.,. ha! dawaj jeszcze! słyszysz. jeszcze! bo jak nie. to ci szyby powybijam! ou, wa, wielga rzecz! dawaj moją firmę znasz — robimy... pijemy... pijemy... robimy... dawaj jeszcze... żona chora... nieprada... stradowali, nieprawda! wyrzucili ze stancji... nie prawda, wszystko dobrze... dawaj jeszcze...

Wieczór to chwila narkotyków, czem kto ma, to się upaja.

Dlatego też oni siedzą we dwoje na rozrzuconej półkopie siana. i nic do siebie nie mówią. A to po co? są tak blisko siebie, tak siebie pewni, tak piękni i weseli, jak Adam i Ewa w raju, słodka czara teraźniejszości nachyla się ku nim, więc piją, patrząc sobie w oczy. pojąc się wzajemnymi uśmiechami. Boski nektar miłości łączy ich nieśmiertelnie, oni to czują i milczą błogosławieni.

Wieczór jest chwilą narkotyków, czem kto ma, to się upaja..

Więc młody poeta rzucił książkę. wstał, poszedł do okna: otworzył je na rozszerz i wpuścił księżyc do swej izby i do swej duszy. Czoło podniósł w górę. a księżyc lał mu srebrzysty napój w otwarty kielich myśli i młody śpiewak pił chciwie zdrój natchnienia płynący bezdennem,

---

ANNA KATARZYNA GREEN.

Pan Gryce umilkł nagle, doktor Cameron bowiem zerwał się na równe nogi.

— Ha! — mówił agent — moja opowieść zaciekawia pana i nie dziw. Wszak sam masz dzisiaj stanąć u ołtarza.

Doktor otrzeźwiał i zajął znowu swe miejsce. Nie chciał okazywać swego wzruszenia, a jednak trudno mu było je ukryć; więc odwrócił głowę i z udanem zajęciem spoglądał przez okno.

— To objaśnienie pani A. — ciągnął dalej agent — przedstawiało mi rzecz w innem zupełnie świetle; nie widziałem jednak powodu do niepokoju.

— A którego dnia ma nastąpić ślub córki pani? — spytałem,

— Dwudziestego siódmego bieżącego miesiąca — odparła.

— Wszak obiecuje powrócić w tym dniu właśnie.

— To mi nie dodaje otuchy.

— Sądzisz pani, że nie przybędzie?

— Nie mam nadziei.

Słowa te wypowiedziane były z głębokiem przekonaniem. Mogłem z tego wyciągnąć jeden tylko wniosek.

— Czy córka pani pragnie umknąć przed tym związkiem? — spytałem.

Odpowiedź nie była tak stanowcza, jak poprzednia.

— Nie wiem doprawdy — odparła pani A. — od pewnego czasu nie poznaję mojej córki. Oboje z mężem spostrzegliśmy, iż jest nieswoja, lecz nie przychodziło nam nawet na myśl, aby przedsięwzięła krok podobny. I gdzież się udała? Co się z nią stanie? Jak spojrzymy w oczy znajomym? I cóż powiemy jej narzeczonemu?

— A więc przypuszczasz pani?...

— Że działała pod pływem chwilowego obłędu, spowodowanego zapewne wzruszeniami ostatnich kilku tygodni; że nie jest odpowiedzialną za swoje czyny i że może się zjawić dopiero po dniu naznaczonym na obrzęd zaślubin.

— Więc czemuż nie wtajemniczysz pani w sprawę tę narzeczonego? Wszak mógłby ci dopomódz w poszukiwaniach?

Tajemnica Dr. Moleswortha

POWIEŚĆ

Annę Katarzynę Green.

(Z angielskiego).

LWÓW.

NAKŁADEM REDAKCJI „DZIENNIKA POLSKIEGO".

niewyczerpanem źródłem z przyrody. Wzdychał chwilami, przelotny uśmiech jak motyl siadał mu na ustach i pierzchał, a on tonął w gorącem uniesieniu, odurzony pieśnią, która tak dobrze upaja, jak co innego.

Bo wieczór jest chwilą narkotyków, czem kto ma, to się upaja...

Za eleganckiem biurkiem siedział wystrojony literat i także oczy na księżyc obracał, ale zżymał się czegoś, wstał, biegał, siadał i tupał nogą w takt niespokojnych myśli. W głowie miał sporo materjału, ale nie miał go czem sklejać, bo serce miał puste, a tylko serce buduje, i piersi miał zimne, a tylko płomień tworzy, myśl miał jałową, bo tylko czujna wrażliwość napełnia. Więc siedział nad czystym papierem i złościł się potajemnie, bo mu głos jakiś pokryjomu szeptał: jesteś mierny... Więc zamiast ducha użyźniać miłością — poił go nienawiścią i rzucał się zajadle na wszystko, co stało wyżej od niego, i miotał potajemnie czarne pociski na tych, co jaśnieli natchnieniem. I teraz zamiast wspaniałej pieśni, napisał paszkwil na swego sąsiada poetę i zaraz mu się lepiej zrobiło, użył sobie trunkiem, jakim się chętnie upajają miernoty — nienawiścią.

Ach, wieczór, to chwila narkotyków, czem kto może, to się upaja...

O, pójdź, pójdź, cudna czaro nachyl się błękitny kieliche... spragnione usta ducha, skrzywione goryczą doczesności, niech się upoją...

O, falerno nieśmiertelnych duchów! najbardziej odurzający z narkotyków — zdroju nieskończoności! pójdź... w tej ciszy wieczora ja słyszę twoje fale. Płyną tam w górze ponad wszystkiemi pragnieniami ziemi, płyną na wieki i nie wracają... zawsze świeże, nowe, z potęgą zaświatowych, nieznanych człowiekowi wrażeń...

Uciszam zmysły, zamykam oczy, nie słucham żadnych gwarów przyrody, nie czuję chłodu, tylko całego czujnego ducha otwieram tobie... Ponad sferą stworzeń, czasu i wszelkich wymiarów biją twoje źródła... Zanim płynąć będę tamtędy, daj mi się napić, daj mi upoić się tobą, bezdenna falo nieskończoności!

Bo wieczór, to chwila narkotyków, czem kto ma, to się upaja...,

Szczęsna.

Gwiazda przeznaczeń.

Pośród doczesnej podróży
Płyniem po burzliwej fali
W górze gwiazd krocie się pali,
Gwiazd krocie — wśród życia burzy

Czemuż, gdy jedne zagasną
Lub w morskiem tloną bezednie;
Jedna nad nami nie zblednie
Lecz twarzą świeci nam jasną?

Przez zmierzchy w przyszłość nas wiedzie
Choć niebo ściemni się za mgłami;
Ta jedna świeci nad nami
Tę jedną widzim na przedzie.

Nie pytaj skąd, dokąd leci
Nie pytaj o jej nazwisko;
Wszak cię strzegła nad kołyską
Ona i grób twój oświeci.

Jako do Betleem żłobu
Zawiodła mędrców ze Wschodu
Przez ciemną jutrznię Zachodu
W ciszę zawiedzie cię grobu.

Więc niech z wrzekomych majaczeń
Śmieją się mędrcy i szydzą
Jam nie winna, że nie widzą
Nie widzą gwiazdy przeznaczeń.

Eliza Augustynowiczowa.

STARA STRZELBA.

Obadwaj wracali przez las, rozmawiając wesoło w najlepszej zgodzie. Gdyby kiedykolwiek ujrzano jednego tylko z nich, dziwiono by się, tak przywykli ludzi widzieć tych obydwóch zawsze razem. A jednak wąż zazdrości i tu znalazł przystęp. Od chwili, gdy jeden z nich dowiedział się, że drugi, choć bezwiednie ukradł mu serce dziewczyny, bez której żyć mu się niepodobnem zdawało zawrzał żądzą zemsty ku przyjacielowi z przyjaciela stał się dlań wrogiem. Cicha natura jego ukryła tajemnie żywioną nienawiść; potrafił pokonać walkę wewnętrzną. Ileż razy w ostatnich czasach rękę, w kułak ściśnioną, już był podniósł, by wymierzyć cios śmiertelny i pozbyć się rywala, ale zawsze ta ręka opadała w końcu przyjacielsko na ramię towarzysza, a dobre słowo pokrywało zbrodnicze zamiary, choć tętna już młotem biły o skronie tajemnego wroga, choć krew się burzyła twarz bladła i oko złowrogim pałało blaskiem

I teraz szli razem polaną wśród lasu.

— Ślicznie tu, ślicznie, zawołał z prawdziwym zachwytem szczęśliwy rywal i wskazał na słońcem ozłocony kobierzec zieleni.

Oparł się o drzewo i spoglądając w górę zdawał się zastanawiać nad tem, co piękniejsze czy szafirowe niebios opony, czy szmaragdowy chodnik traw. Wtem padł strzał — i głowa marzyciela bez słowa skargi i jęku runęła na martwe już piersi.

— Boże miłosierny! krzyknął drugi i padł przy zwłokach na kolana.

Czyja ręka spuściła nagle kurek strzelby?

Było to nad drogą do wsi wiodącą i ludzie przechodzący, usłyszawszy strzał, nadbiegli zaraz. Nie było wątpliwości, że zabity oparł się o strzelbę, a kurek puścił: kula trafiła w głowę nieszczęśliwego. Na młodej twarzy nie zamarł jeszcze uśmiech zachwytu. Pod włosami, które mu na czoło opadały, była mała rana, z której krew sączyła kroplami. Martwe ciało zaniesiono przez las zielony do domu i tylko słońce zachodzące świadome tego, co zaszło, chmurą zakryło swe lica. Cisza zaległa; ptaki jeszcze wieczorną śpiewały modlitwę, a dwie krople krwi, jak dwie leśne jagody rumieniły się wśród mchu zielonego.

* *

Jak tabun koni hasa po puszczy węgierskiej, tak wesoła gromadka dzieci hasała po schodach i sieniach starego domu, który jeszcze dziad dzisiejszego właściciela ze zbytkownym komfortem wybudował.

Jedynakowi dziadka wolno było hasać i hałasować po domu i nikt mu niczego nie bronił; sam dziadek nawet cieszył się, słysząc wesołe krzyki wnuka. A gdy czasem nadto było głośno odkładał na chwilę pióro i patrzał na fotografię swego ulubieńca, stojącą na biórku, przy którem pisał

I teraz rozlegał się wesoły gwar. W obszernej sieni bawiono się w żołnierzy. Zdaleka rozpoznać było można głos wnuczka, którego rozkazy wypełniały dzieci, towarzysze zabawy, bez najmniejszego oporu niechęci.

Dziadkowi przeszkadzała ta głośna zabawa; okulary podniósł na czoło i rozparłszy się w fotelu, patrzał zadowolony na fotografię wnuka.

Wtem padł strzał. Okrzyk strachu i zgrozy rozległ się po całym domu. Zerwał się starzec, i drżąc z trwogi, niepewnym krokiem, ściany się trzymając, dopadł drzwi wiodących do sieni.

Oparte o mur, z głową mocno naprzód pochyloną, stało dziecię, teraz już dziecię śmierci. Malec trzymał jeszcze w ręku strzelbę większą od siebie, a dziadek na pierwszy rzut oka poznał w niej strzelbę dawnego przyjaciela. Przeszło czterdzieści lat leżała za-

położeniu. W rodzinie naszej zdarzył się fakt, który może się okazać zupełnie błahym, lub też okryć nas hańbą. Otóż chciałabym, abyś pan wykrył, czy obawy nasze są uzasadnione. Jeśli są płonnemi, zapomnisz, iż byłeś wzywany do tego domu.

Skłoniłem się: byłem istotnie zainteresowany, spostrzegłem odrazu, iż pani A. jest bardzo strwożoną, a niepodobna mi było zrozumieć powodu tego niepokoju: nie miała syna, który mógłby rozrzutnością swą wprowadzić ją w taki kłopot, a mąż jej stał po nad wszelkie zarzuty.

— Panie Gryce — rzekła — mam córkę.

— Wiem — odparłem, zdziwiony coraz bardziej: panna A. w oczach świata czystą była i nieskalaną, jak lilia.

— Jest ona naszem jedynem dzieckiem — mówiła dalej matka — kochamy ją oboje z całego serca i otaczaliśmy zawsze czułem staraniem, a jednak — dodała, oglądając się naokoło, jak gdyby obawiała się, iż może być podsłuchaną — a jednak opuściła nas nagle. Odjechała, nie zawiadomiwszy, gdzie się udaje, pozostawiając bardzo niedokładne objaśnienie i.. i...

— Jeśli jednak pozostawiła jakkolwiek objaśnienie?..

Pani A. wyjęła z kieszeni zmięty list i podała mi go.

— Oto, co otrzymaliśmy przez pocztę — rzekła — a przecież byłam w domu, gdy odjeżdżała, gotowa uwzględnić każdą jej zachciankę.

Odczytałem cztery wiersze, z których składało się to pismo. Brzmiały one w te słowa:

Kochana Matko!

Odjeżdżam na dni kilka, lecz wrócę 27-go. Bądź dobrej myśli.

Kochająca Cię
Eugenia."

— Więc niema się o co niepokoić — rzekłem — córka pani obiecuje powrócić 27-go, a dziś mamy dopiero 24-ty.

— Ależ panie, nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się opuścić domu bez naszego pozwolenia, zresztą czas nie jest wcale odpowiedni ku temu. Karty, zapraszające na ślub naszej córki zostały już rozesłane.

pomniana, prochem okryta na strychu, a teraz drugi nieszczęśliwy strzał, który blisko pół wieku rdzewiał w ukryciu, ugodził i nie chybił celu. Ze zgrozą chwycił starzec trupa i gdy jasne włoski odsunął ze skroni, ujrzał znak śmiertelnego postrzału w tem samem miejscu, w które on przed laty przyjaciela ugodził.

I była wówczas wiosna i słońce zachodziło a na ziemię spadały duże czerwone krwi niewinnej krople, mścicielki winy dziadka na wnuku.

Witold Leitgeber.

O zmarłej.

Z Musseta (*Sur une morte*).

Była piękna wszak piękna jest w marmur zaklęta
Noc Michała Anioła snem kamiennym zdjęta;
Snem, w którym myśl nie marzy i pierś nie [oddycha.
A z twarzy czytasz prośbę: „Nie budź — stąpaj [z cicha".

Jak dobroczynnym kwiat jest, co nie zna swej [woni,
Lub jałmużna z litością wcale nie złączona;
Dłoń bezmyślnie otwarta, co skarbów nie broni.
Tak skarby rosnąc w drodze — dobrą była ona.

Ach i myślącą była; wszakże dźwięki łona
W nieruchomym wzbudzone posągu Memmona
Tak myślącym go czynią, i więc leciuchne tony
Słodko szemrzący głos jej, myślą był natchniony.

Modliła się tak często, ilekroć swych dwoje
Pięknych oczu podniosła i rosłała drogą,
Którą płynie modlitwa w niebieskie podwoje.
Te posty z ziemi w niebo — hymnem zwcać się [mogą.

I śmiała by się była, jeśli z pustej wieści,
Z którą wiatr ulatując zalotnie szeleści
Śmiać się może kwiat w pączku, ach nie żądny [weale
By ten wicher w przelotnym wstrzymał się zapale.

Znać mogła płacz lub szczęścia łzy tak pełne [czaru.
Lecz dłoń zimną poważnie na sercu trzymała
I nie tknąwszy rozkoszy ni boleści żaru,
Ziemskich nie znając wzruszeń pocóżby płakała?

Miłością by płonęła, gdyby zgasła pycha.
Co w niej jak lampa czuwa przy grobowcu cicha
I miast zapalić serce błyszczy nadaremno.
Więc w sercu skry nie było — zawsze było ciemno.

Tak umarła nie żyjąc i gasnąc nie bladła,
Przeszła, lecz wątpić wolno czy kiedy istniała.
Książka jakaś wymknęła się z ręki wypadła.
Ach! ona ją otwarła... lecz nie przeczytała.

Zofia Grynbergowa.

Zbrodnia i miłość.

Świeżo w handlu księgarskim paryzkim pojawiła się książka, której treść do pewnego stopnia sam tytuł tłumaczy, brzmi on: „Paryż cierpiący. Więzienia paryzkie i więźniowie".

„Książka ta, obejmująca 500 stronic wspaniale ilustrowanych, nosząca podpis sędziego śledczego Adolfa Guillot'a, wieloraki a poważny przedstawia interes.

Badacz dziejów cywilizacji, psycholog, filantrop, psychjatra nawet, wszyscy czerpać mieliby z czego.

Studjując zbrodnię i przejawy jej wogóle, ze szczególnym naciskiem rozszerzył się autor nad rodzajem jej, dziś bezsprzecznie gorującym we Francji ponad innymi, nad zbrodnią, na pobudkach miłosnych opartą.

I nic dziwnego, przyciąga ona i fascynuje, otaczając często mordercę aureolą romantyzmu. Nadewszystko kobiety, które nożem lub kulą w imię miłości dopuściły się zbrodni, zwłaszcza gdy nieszczęściem lub pięknością wyróżniają się budzą ciekawość i pewien rodzaj sympatji w otoczeniu, sympatji, przejawiającej się nawet wśród pobożnych sióstr miłosierdzia, o czem kroniki więzienia kobiecego Saint-Lazare niejednokrotnie wspominają.

Współczucia tego, nie kontrolowanego rozumem, jakże często, ba, nawet za często, dają dowody sądy przysięgłych francuzkie. Zwyczajem tu już niemal jest uniewinniać bohaterów krwawych dramatów miłosnych, choćby za cenę krzyczącej niesprawiedliwości

To też we Francji za byle powodem nóż i rewolwer w grę wchodzą. Jedyny to argument kobiet opuszczonych, zdradzonych mężów, niezadowolonych kochanek i kokietanków

Kobiety, dopuszczające się mordu z miłości, wedle badań Guillot'a, po większej części znacznie wyżej stoją tak umysłowo, jak i moralny, od mężczyzn. Nie należy jednak dam tych zbiet wysoko cenić.

Na dziesięć wypadków w dziewięciu nie byłoby do zbrodni przyszło, gdyby uwodziciel przy ostatecznem załatwianiu rachunków mniej okazywał się skąpym i rany, zadane sercu ukochanej, obficiej balsamem banknotów opatrzył.

Zbija również Guillot ogólne mniemanie, jakoby zbrodniarz, który z miłości zabija, nie miał dość zimnej krwi do wyboru czasu i broni. Autor nasz niejedną w życiu miał sposobność oglądać ofiarę, której rany świadczyły wyraźnie, iż drobna rączka rozkochanej kobiety, zadając je, z rewolwerem wprawnie obchodzić się umiała i nie na oślep wybierała miejsce, w które kulą czy nożem ugodzić jej wypadało, aby celu nie chybić. Niektóre z dam tych odznaczały się przytem nielada sprytem i w urządzaniu zasadzek prześcigały się w pomysłach. Broń nabywały na długo przed zamachem i wprawiały się w użyciu jej. Bywały wypadki, że ćwiczyły się w strzelaniu do celu, aby działać pewną ręką. Przytem po największej części zadawały śmierć w czasie snu ofiary.

Rzadko też bardzo zbrodniarze tej kategor i żal objawiają jaki, lub skruchę. Przeciwnie Pierwszem uczuciem, jakiego po dokonaniu zbrodni szczególniej kobiety doznają, jest uczucie zadowolenia, radości nawet z udanego zamachu.

„Opuścił mnie — oto są zwykłe słowa tłumaczenia w takich razach — rzucając mi w zamian garść pieniędzy. Widziałam go z inną kobietą. Żądza zemsty i uczucie zazdrości opanowały mnie; dniem i nocą byłam pod ich wpływem. Uderzając go nie chybiłam, mam więc zadośćuczynienie".

Jeżeli żona zabija męża, rzadko pobudką do czynu bywa zazdrość. Zdrada męża nie dotyka kobiety tak głęboko, aby aż w krwi maczać miała ręce; mści się najczęściej, oddając pięknem za nadobne. Zabija tylko, a przynajmniej prawie zawsze w obronie siebie samej lub dzieci i szczególniej tych ostatnich. Ofiarą w takim razie bywa mąż pijak, trwoniący zarobek i znęcający się nad żoną, lub ojciec, dotykający kobietę w jej uczuciach macierzyńskich.

Najszlachetniejsza to z pobudek zbrodni, przed sądem najlepszy obrońca. Guillot przytacza dla przykładu wypadek, w którym porzucona dziewczyna zamordowała kochanka, młodego studenta. Okoliczności towarzyszące zbrodni, dokonanej podstępnie i z premedytacją, domagały się najwyższej dla zbrodniarki kary. W więzieniu pozostawiono uwiedzionej dziecko, które samże

---

jego samego, ani jego bliskich, a doktor zaczynał już obawiać się, iż tak jest.

— Nie oceniasz pan należycie swojej sławy — rzekł — nazwisko pana znane mi jest dobrze. Czy życzysz pan sobie, abym przyszedł mu w pomoc moją sztuką?

Agent oderwał oczy od cherubina, rozpościerającego skrzydełka nad kominkiem i przeniósł je na doktora ze smutnym wyrazem.

— Opowiem panu moją historję — rzekł — najkrótszy to sposób dojścia do porozumienia.

I bez żadnych wstępów zaczął w te słowa.

II. Przykre położenie.

Stary już jestem i zaczynam podlegać dolegliwościom, właściwym wiekowi, są jednak sprawy, których nie powierzają nikomu, oprócz mnie, a mianowicie, gdy chodzi o honor osobistości, zajmujących wybitne stanowiska,

Pan Gryce zatrzymał się. Obawy doktora Cameron wróciły znowu.

— Powierzają mi sprawy dlatego — ciągnął dalej agent — że potrafię utrzymać tajemnicę, gdzie należy i odsłonić ją stosownej chwili.

Umilkł znowu. Doktor Cameron poruszył się niespokojnie.

— W tym zaś wypadku? powtórzył doktor, zaniepokojony już na dobre. — Jakiż to wypadek? Mów pan odrazu, co masz do powiedzenia.

Lecz pan Gryce nie zważał na tę przerwę.

— Nie zdziwiłem się też wcale — ciągnął dalej — gdy przed trzema dniami kazano mi udać się do pani A. w sprawie poufnej. Otrzymuję często podobne polecenia. Tem niemniej jednak pospieszyłem do domu pani A., jest to bowiem osoba bardzo szanowana, której mąż cieszy się olbrzymim majątkiem i rozległymi stosunkami. Znasz ich pan oboje. Pani A. oczekiwała mnie z niecierpliwością i natychmiast przystąpiła do rzeczy:

— Panie Gryce — rzekła — jestem w przykrem

KSIĘGA I.

Ślub Eugenii Gretorex.

I. Niespodziewany gość.

Był to dzień ślubu doktora Cameron.

O ósmej miał się połączyć dozgonnym węzłem z Eugenią Gretorex, w domu jej rodziców, przy St. Nicholas Place. Była już czwarta.

Siedząc w swoim gabinecie, doktor Cameron, który, pomimo młodzieńczego wieku, zażywał już sławy pierwszorzędnego lekarza, rozpamiętywał nad przeszłością i budował plany na przyszłość; narzeczona jego bowiem była córką jednego z bogatszych i bardziej wpływowych obywateli miasta New-Yorku, a przy jego obszernych ambicjach, dodawało to wiele uroku pięknej oblubienicy.

Swoją drogą kochał ją i zdawało mu się przynajmniej, że kochałby ją wśród innych wcale okoliczności. Czyż niebyła piękna, tą wyniosłą, dumną pięknością, która najbardziej trafiała mu do serca? Wprawdzie miała swoje kaprysy, tak jak każda kobieta i szanowała go raczej, niż kochała — wykazywał to szereg drobnych, a nie pochwytnych faktów — lecz doktor zgadzał się na to zupełnie i cieszył się z góry tym związkiem, pod każdym względem dobranym, a który nie groził zachwianiem koniecznej w jego męczącym zawodzie równowagi moralnej.

Jedna rzecz tylko niepokoiła go. Nie mógł zrozumieć, dla czego narzeczona nie chciała się z nim widzieć przez ten ostatni tydzień.

Czyżby popadł w niełaskę? Nie sądził. Podarki jego były nietylko kosztowne, lecz wybrane z wielkim smakiem, Czyżby się czuła niezdrową? Był jej leka-

wkrotce zmarło. Oskarżona, która *dla* użytku sądu przedstawienie *zbrodni* i *motywów* jej piśmennie przygotowywała, przerwała pracę swoją w środku słowami: *„Dziś zmarła mi córeczka moja po dwóch dniach ciężkiej męczarni, nie mam sił bronić się dalej; myśli o dziecku odpędzić nie mogę...“* Po odczytaniu tych paru wierszy przez obrońcę, przysięgli wydali wyrok uniewinniający.

Bywają jednak zbrodnie niczem niewytłumaczone, dzikie nad wszelki wyraz. Słynną jest cela w Saint-Lazare, zajmowana niegdyś przez wdowę Grass, która dla tem pewniejszego opanowania osoby i majątku kochanka swego, kwasem siarczanym usiłowała wypalić mu oczy.

Co do mężczyzn, walczących nożem lub kulą w imię miłości, są to przeważnie wyrzutki społeczeństwa, poprzednio już za różne przestępstwa karani. Zyski materjalne główną tu odgrywają rolę, a wprawa, jaką zbrodniarze w przelewaniu krwi nabyli, ułatwia zadanie.

Niedawno sprawdzono między innemi, iż bohater krwawego dramatu miłosnego, rozwiązanego z rewolwerem w ręku, już mając lat 14 brał udział w pewnem morderstwie.

Kw.

Z literatur słowiańskich.

Piotr Kumiczicz.

Ostatnie dziesiątki naszego wieku wpłynęły bardzo na rozwój południowo słowiańskiej literatury. Jest to naturalnie wypływem obudzenia się bardziej rozwiniętego życia politycznego, a wślad za tem i ducha narodowego.

O ile jednak duch taki, można powiedzieć gorączkowy i za dorywczy, ogarnął południową Słowiańszczyznę, o tyle rzeczywiście zboczył nieco kierunek młodych przodowników w rozwijającej się literaturze, szczególnie powieściowej i dramatycznej, nie ucząc jej szukać piękna w rzeczach ojczystych, lecz iść ślepo za przykładem aż krańcom na Zachodzie rozwiniętego naturalizmu.

W siłach młodych, nie mogących się zaraz otrząść z wrodzonego człowiekowi poczucia piękna, wyrzadza kierunek ten rażące często kontrasty, co mieliśmy sposobność zaznaczyć w poprzednim artykule o Iwanie Bojnowiczu. — Czasem rzecz się ma inaczej; młody talent kształcony na wzorach Zachodu, i przejmujący się do szpiku — jak mówią — tamtym kierunkiem, wkracza od razu w ślady swych nauczycieli.

Jednym z takich, młodych, w sile rozwijającej się literaturze kroackiej, jednej z nowszych, jest Eugieniusz Kumiczicz.

Urodzony w przecudnej, jakkolwiek przez żywioł włoski uciskanej srodze Istrji w Bersecz, uczęszczał do gimnazjum w Fiumie, Capod' Istrji i Zadarze, uniwersytet kończył w Pradze i Wiedniu, gdzie studjował historję i filozofię. W roku 1874 widzimy go suplentem gimnazjum w Spalato, gdzie nie cieszył się szczególniejszą sympatją hegemonów. Porzuca więc służbę pedagoga, i wstępuje w Zagrzebiu do jednorocznej służby wojskowej; po wysłużeniu zaś przepędziwszy czas dłuższy we Francji i Włoszech wstępuje powtórnie na uniwersytet wiedeński, aby lepiej studjować języki i literaturę romańską. Po kampanii bośniackiej 1879 do 1884 widzimy go znowu w szkole wyższej realnej w Zagrzebiu porzuca jednak znowu profesurę dobrowolnie, aby tym razem już stanowczo literaturze wyłącznie się poświęcić. Działa następnie jako poseł do sejmu kroackiego, osięga obywatelstwo zagrzebskie a nawet przez półtrzecia roku pełni trudny obowiązek redaktora pisma *„Hrvatska“*.

Działalność ściśle literacka Kumiczicza zaczyna się właściwie od roku 1879, w którym ukazała się pierwsza jego praca „Przypadek“. Po nim posypały się w bardzo krótkich czasu odstępach. „Olga i Lina, „Jelka“ Szczególni ludzie“, „Pomorzanie (Primorci)“, „Zdziwieni weselnicy“, „Gosposia Sabina“ (przełożone na czeski język) „Ofiara wina“, „Sierota“, „Pod karabinem“, „Związek kobiety“, „Przez morze“, „Teodora“, „Zatrute serca“, nakoniec dramat 3 aktowy „Sieroty“ i komedja „Tajemnica rodzinna“.

Są to prace większe; prócz tego pisał Kumiczicz cały szereg szkiców i obrazków pochwyconych z życia odznaczających się prawdą przedewszystkiem.

W pracach wyżej wspomnianych Kumiczicza walczą dwa pierwiastki i tendencje. Z jednej strony entuzjazm dla poezji naiwnej i realizmu zdrowego, najbardziej indywidualizmowi nadającego się z drugiej zaś skłonność do atmosfery duszej naturalnej szkołą naturalizmu Zachodu i goniącej za grubymi efektami. Ztąd w wielu dzieł jego wskutek równoległego że się tak wyrazimy, biegu obu kierunków spostrzegać sie daje ów brak estetycznego smaku znamionujący mięszaninę idealizmu z realizmem. Lepsze są bez porównania te, które mają wybitne piętno jednego z dwu pomienionych kierunków.

Kumiczicz dalekim jest bardzo od tradycji narodowych. Jak już wspomnieliśmy, jego bytność dłuższa na Zachodzie, sprawiła, że przecież naturalizmem francuzkim w guście Zoli przeciw któremu nawet w samej Francji pewny ruch spostrzegać się daje, dowodem czego mowa Paillerona, wygłoszona przy jego przyjęciu w grono akademików. Niejeden zresztą z naśladowników wielkiego Zoli wyszedł źle na naśladownictwie tem, nie posiadając takiej znajomości ludzkich charakterów jak Zola; sam przedmiot jeszcze nie wystarcza.

Do takich wstrętnych niemal prac Kumiczicza zaliczyć można w pierwszym rzędzie „Zatrute serca“. Znajdzie tam wszystko od lichwy do wiarołomstwa, od oszustwa do kradzieży, a wszystko to wzięte z mętów towarzystwa zagrzebskiego. Pod ten sam prawie strychulec dadzą się pociągnąć „Sabina“ i „Związek niewiast“.

Do najlepszych natomiast zaliczyć musimy wymienione wyżej „Przez morze“ *(Precomora)* po przeczytaniu której nasuwa się na myśl tyle ulubiona przez babki nasze powieść „Paweł i Wirginia“, oraz powieść „Teodora“ gdzie młode dziewczę dojrzałe wcześnie już przeciwnościami życia, całą energję swą rozwija, aby odkryć mordercę swego ojca.

Na tle tej powieści osnuł Kumiczicz w dalszym ciągu swój trzyaktowy dramat „Siostry“, pełen porywających momentów i doskonałej charakterystyki figur działających.

Kumiczicz, szczęśliwy równie i na polu komedjopisarstwa, ma wszelkie warunki być jednym z filarów narodowej sceny kroackiej, nadczem, aby się ona stała czysto narodową, pracuje dziś już cała plejada młodszej generacji pisarskiej w Kroacji.

Niezaprzeczenie jest to wielką i niespożytą zasługą literackiego stowarzyszenia „Matycy Hrwatskiej“, że literatura kroacka, dziś wybitniejsze zajmuje miejsce wśród literatur słowiańskich, lecz wcale niepocieszającym objawem, niestety i u innych narodów mającym miejsce, jest usuwanie się czem raz bardziej od dziejów ojczystych i tworzenie dzieł na innym gruncie.

Duch miłości ojczyzny, tchnący z każdego słowa pisarzy starej szkoły, nie owiewa dzisiejszego pokolenia...

A. Krajewski.

---

rzem, a nie donoszono mu o żadnej niedyspozycji Zresztą gdy poraz ostatni ją widział, wyglądała lepiej niż zwykle i jakkolwiek znać było na niej pewną ekscytację, okazywała mu tyle sympatji, jak nigdy dotąd.

Było to krótkie widzenie, lecz pamiętał je doskonale; miał jeszcze przed oczyma to nieśmiałe spojrzenie, jakie rzuciła mu na powitanie, czarowny uśmiech, który po raz pierwszy widział na jej ustach. Zamienili ze sobą zaledwie słów kilka, lecz głos jej brzmiał jakoś serdeczniej. Na razie nie uderzyło go to, lecz teraz, zastanawiając się nad tem, przypominał sobie, że wychowanie jej było dziwne, że zaszła w niej zmiana, którejby określić nie potrafił, a która jednak pozostawiła w pamięci jego miłe bardzo wrażenie. Czuł jeszcze na swoich gorące jej usta — po raz pierwszy oddała mu pocałunek. Zaczynał nawet przypuszczać, iż wkrada się do jej serca, lecz to dziwne postępowanie zadawało kłam wszelkim mrzonkom.

Teraz w tych objawach serdeczności, upatrywał symptomata gorączkowego rozdrażnienia.

Tak, niewątpliwie, musiała być chorą i chcieli to ukryć przed nim.

Odpowiedzi kamardynera: „panna Gretorex przeprasza, że nie może przyjąć, ale jest bardzo zajęta“, lub „panna Gretorex wyszła za sprawunkami“, były tylko zręcznymi pozorami dla ukrycia smutnej prawdy.

A jednak, gdy nad tem rozważał chłodniej, podejrzenie takie wydawało mu się poprostu niedorzecznem.

Gdyby była chora, dowiedziałby się o tem niewątpliwie, jeśli nie przy St. Nicholas Place, to na mieście.

Nie, to choroba. Zapewne nic innego, jak gorączkowe zajęcie się wyprawą. Wszak mógł jej przebaczyć to zaniedbanie jego osoby dla.. gałganów, a pamiętać tylko o tym pożegnalnym pocałunku

Doszedł był do tej konkluzji w swoich rozmyślaniach, gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi.

Powstał z pewnem zniecierpliwieniem. Przecież wydał rozkaz służbie, aby nie wpuszczała nikogo. pacjentów, ani gości. I któż to mógł być? Może posłaniec od panny Gretorex? Na tę myśl z pospiechem

rzucił się do drzwi; lecz zanim miał czas poruszyć klamkę, otworzyły się one i ku jego zdziwieniu, okazał się jakiś człowiek, zupełnie mu nieznany, w wieku średnim, miłej powierzchowności, który widocznie miał ważny bardzo interes, jakkolwiek zachowanie jego było pełne godności i spokoju,

— Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam — rzekł. — Służący oświadczył mi wprawdzie, że to dzień pańskiego ślubu, lecz dodał przytem, iż ceremonia ma się odbyć dopiero o ósmej wieczór, a potem mam panu do zakomunikowania rzeczy bardzo ważne i nie cierpiące zwłoki, więc pozwoliłem sobie przerwać pańską samotność,

— Mniejsza o to — odparł doktor Cameron, czując się odrazu usposobionym przychylnie dla tego człowieka, jakkolwiek nie wyglądał na gentlemana i zdawał się unikać spojrzenia swego interlokutora, co za zwyczajnie wzbudza wcale ufności. — Czy przychodzisz pan w charakterze pacjenta?

— Nie — mówił nieznajomy, spoglądając, jakby z politowaniem na biały krawat i inne drobne przedmioty toaletowe, leżące na stole — mam wprawdzie interes do pana, jako do doktora, lecz nie jestem pacjentem. Żałuję niemal, iż nim nie jestem — dodał z zakłopotaniem, które uszło uwagi doktora.

— Słucham pana — rzekł.

— Ułatwiasz mi pan to przykre zadanie — mówił nieznajomy — a jednak nie zechcesz może dać mi ucha, skoro się dowiesz, iż wpierw przystąpię do pewnej opowieści, która, jakkolwiek nie pozbawiona jest interesu, lecz wątpię, czy w obecnym stanie ducha zechcesz pan wysłuchać jej cierpliwie.

Było to istotnie alarmujące, zwłaszcza, iż nieznajomy wyglądał na człowieka liczącego się z każdem słowem.

— Czy raczysz pan powiedzieć mi swoje nazwisko? — spytał doktor Cameron,

— Wątpię, czy jest panu znanem — brzmiała chłodna odpowiedź — lecz ponieważ należy przedewszystkiem, abyś mi pan ufał, więc powiem wręcz, że jestem Ebenezer Gryce, agent policyjny.

Słowa te uspokoiły odrazu doktora Cameron.

Oczywistem było, iż interes ten nie dotyczył